



ŚWIAT DZIECI

DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU



Taniec

Skoczył stółek do wiaderka,
zaprosił je do oberka,
Dzbanek z półki hyc na ziemię:
„Ja nie gorszy! Poproś — że mię!”
A za dzbankiem talerz skoczył,
Dokoluśka się potoczył,
Piec, choć grubas, złapał kija
I ochoczo z nim wywija.
Biedna miotła w kącie stoi,
Też by chciała, lecz się boi,
Bo jak w tańcu się rozluźni,
To ją będą zbierać później.
Tańczy skrzynia i siekiera,
Aż się miotle na płacz zbiera,
Już nie może ustać dłużej
I tak płąsa, aż się kurzy.

JULIAN TUWIM



NIEMCZJAROSZ



Wszystko Czwartek

Tego dnia wszystko w szkole było na opak. A zaczęło się od wielkiej awantury. Bo Maryśka miała przynieść smalec do wysmarowania tablicy i zapomniała. Prawdę powiedziawszy, to Maryśka dobrze o tym pamiętała, tylko mama powiedziała, że nie myśli na takie głupstwa tłuszczu marnować.

— Czasy ciężkie, o wszystko trudno, a tym się zachciało tablicę smalcem smarować. Poczekajcie, aż będzie lepiej.

Potem okazało się, że nie ma kostki cukru. Cukier każdy w domu miał i mógł ostatecznie troszkę przynieść, ale to był kryształ — do niczego.

Tylko Stefan spisał się dobrze i za zebrane w klasie pieniądze kupił pączków. I to



Jakich pączków, małych jak orzeszki. Podzielne, można całą klasę obdzielić i jeszcze innych częstować.

Ale ten smalec i cukier wszystkim humor popsuły.

— Co to za Tlusty Czwartek bez kawałków?

— Nawet szkoda tych pączków...

Na dobitkę jeszcze przyszedł Witek i zaczął ode drzwi zaczął:

— Piąta klasa wszystko już zrobiła i tablicę umazali i nawet taki atrament wylany z papieru zrobili, jak na prima aprilis.

To zdecydowało.

— Nad czym my się zastanawiamy. Jak nie ma to trzeba kupić.

Ba, ale właśnie wczoraj wszystkie pieniądze do grosza wydali na te pączki. Ani groszka nie było w klasie. Pieniądze miał na pewno Kazik, ale do niego nawet się nie zwracał. Takie skąpactwo, nigdy nikomu nie da. Zresztą widzi sam, że potrzeba i nie odezwie się nawet. To nie trzeba. Niech sobie nosi w kieszeni te swoje skarby. On nawet na pączki patrzy z pogardą. Pewno,

co takiemu. Ojciec ma cukiernię. Gdyby Kazik był porządnym chłopcem to przyniósł by od czasu do czasu coś dobrego dla kolegów. Ale on woli sam zjadać i patrzeć jak innym tylko ślinka idzie. Sobek.

Tłuszcz jednak trzeba było kupić, a pieniędzy nie było. Wreszcie odważył się Wiktor (ten, co to się zawsze spóźnia i najwcześniej po pierwszym dzwonku wpada zdyszany do klasy).

— Co tu dużo gadać. Pójde do sklepiku i poproszę, żeby mi zborgowali. Wiktor bardzo śmiesznie mówi, bo na wsi się wychował i używa takich wiejskich słów.

— No kto ze mną pójdzie?

Wybrał się Wałek i Hanka.

Wrócili bardzo szybko. Sklepowa dała im na kredyt (tylko żebyście nie zapomnieli) trochę oleju i jakiś taki biały kamyczek zamiast cukru. Bo cukru w kostkach nigdzie nie ma teraz. No skąd go wziąć.

Wysmarował Staszek tablicę, aż błyszczala, aż z niej ten olej kapał i ciemne plamki porobiły się na podłodze. Położyli zamiast kredy ten kamyczek.

— A zamiast ścierki co?

— Naćżałoby położyć pączek.

— Szkoda.

— Kto go potem będzie jadł? Umaże się cały w oleju.

Wreszcie położyli tę tłustą szmateczkę, którą smarowali tablicę, ale to nie bardzo dobrze wyszło, bo zaraz Wanda poplamila sobie sukienkę.

Witek nawet próbował wyciąć z czarnego papieru taki wylany atrament, jak w piątej klasie, ale go zakrzyczeli, że to będzie malowanie i że nie ma sensu. Co innego na prima aprilis a co innego na Tlusty Czwartek.

Teraz jeszcze Wojtka ubrali w białą papierową czapkę i w biały fartuch, który Walerka przyniosła z domu. Czapka wprawdzie spadała z głowy a fartuch był trochę za duży i włócił się po ziemi, ale Wojtek wyglądał w tym wspaniale. Miał w tym stroju stać za piecem, z wielką łyżką w jednym ręku a z miską pączków w drugim. Gdy mu dadzą znak, wyjdzie i postawi przed panią na katedrze pączki. Miał jeszcze przy tym mówić długi wiersz, ale się go ani rusz nie mógł nauczyć. Wojtek rachować umie dobrze, a wiersza nigdy nie może się nauczyć. Ale znowu nikt w klasie tak nie nadawał się na „Tlusty Czwartek“ jak Wojtek. Rumiany, pyzaty, z okrągłymi świecącymi oczkami i okrągłym zadartym noskiem.

Zadzwoił dzwonek i Wojtek wpakował się za piec. Pani weszła. Wszyscy wstali równiutko, jak nigdy i równiutko jak nigdy powiedzieli „Dzieńdobry pani“.

Ledwie jednak pani usiadła i rozłożyła dziennik, kiedy rozległ się szczeł rozbitego naczynia i zza pieca posypały się pączki.

Boże, jakże one wyglądały! Utyłane w kurzu, cukier się obsypał... I szkoda i śmiać się chce.

Pani spojrzała zdziwiona, ale nie mogła wytrzymać i też wybuchnęła śmiechem. Nie było rady, trzeba było Wojtkowi dać znak, żeby już wychodził. I tak się wydało. Stefan, tupnął trzy razy nogą (to był umówiony znak). Wszyscy spojrzeli na piec, a piec jak piec — stoi i nie. Rozlega się za nim tylko sapanie i pociąganie nosem.



— No, wyjdźcie „Tlusty Czwartku“ z za tego pieca — śmieje się pani — niechże się zobaczą.

— Kiedy nie mogę — płaczkawo odpowiada piec.

Teraz dopiero był kłopot, jak tego grubaska wyciągnąć. Cała klasa brała w tym udział. Każdy radził.

— Przekręć się w bok.

— Tyłem wylaż.

— A jakie wszedł?

(Dokończenie obok)

HALINA GÓRSKA

Nie nos dla tabakiery, lecz tabakiera dla nosa

W życiu małego społeczeństwa, tak samo jak w życiu dużego, nie wszystko układa się tak, jak sobie człowiek z góry przewidział.

O wielu rzeczach mieliśmy się przekonać i wielu rzeczy się nauczyć w świetlicy.

Przekonaliśmy się na przykład, że nie wystarczą dobre i rozumne prawa, — musi także istnieć chęć ich przestrzegania.

Przekonaliśmy się, że nie ma ważnych i mniej ważnych urzędów — każda czynność w życiu społecznym jest ważna. I przekonaliśmy się, że nie zawsze to ministerstwo, które wydaje się najtrudniejsze i najbardziej odpowiedzialne, przysparza w rzeczywistości najwięcej trosk i kłopotów.

Któż by się na przykład spodziewał, że ministerstwem, które spowoduje nawet zmianę konstytucji, będzie nie ministerstwo oświaty lub ministerstwo rolnictwa, ale ministerstwo kanalizacji... (No, bo przecież rozumiecie, że ktoś musiał tym się zajmować!) A tu chłopcy wyśmiewali swego własnego urzędnika, tytułując go „ministrem świeżego powietrza“... Toteż nic dziwnego, że nikt nie chciał być ministrem kanalizacji, i trzeba było wydać specjalne prawo o przymusowym przyjmowaniu urzędów, a i to nie wiele pomogło. Dopiero poświęcenie Jacka Martyniaka, który był podówczas ministrem rolnictwa i prezesem rady ministrów i który jednak dobrowolnie przyjął ten urząd, żeby pokazać, że żadna praca dla dobra publicznego nie hańbi, przywróciło honor temu ministerstwu.

Albo na przykład — ministerstwo szaf. Zdawałoby się, coś łatwiejszego niż być ministrem szaf? Ale — to się tylko tak zdaje. Spróbujcie utrzymać porządek w szafie, w której znajdują się ołówki, pióra, nożyczki, klej, papiery, atrament, przybory do szycia, gry i galganki, a do której dostęp ma trzydziścioro dzieci! A jeżeli znowu w takiej szafie nie ma porządku — spróbujcie odnaleźć w niej cokolwiek!

Z początku kiedy jeszcze nie docenialiśmy ważności tego urzędu wybraliśmy na ministra Janka Kempe, z trzeciego oddziału, żeby mali mieli także jednego ministra. Ale po czterech dniach musieliśmy zwołać ogólne zebranie i wybrać kogoś innego, bo w szafie panował taki chaos, że nauczycielka, która przyszła pokazać, jak można sobie uszyć gimnastyczne pantofle z galganków, musiała odejść z niczym. Wybraliśmy więc Józka Kapuśniaka z VII oddziału, jednakże i ten tylko dlatego utrzymał się w dzieł, żeśmy nie chcieli mu robić wstydu

i wyrzucać go, jak małego Janka, po trzech dniach.

Na drugim ogólnym zebraniu dziewczęta podniosły gwałt.

— To wszystko dlatego — powiadają — że wy chcecie wybierać tylko samych chłopaków, a chłopcy nie mają pojęcia o takich rzeczach!



I wybraliśmy Mańkę z VII oddziału, bo one mówiły, że u niej w szufladzie w domu i w szkole wszystko zawsze takie poukładane, że aż miło popatrzeć. Mańka zaraz zabrała się do roboty. I odtąd naszej szafy po prostu poznać nie było można. Wszystko sobie tak ładnie poukładała, sama na klucz zamyka, sama każdemu wydaje, nikt niczego nie szuka i z nikim się nie kłuci. Nachwalić się nie możemy nowych porządków! Nauczycielka robót i pani Oskierska mówi, że „Mańka to dzielna dziewczucha“, a na radzie ministrów uchwalono wyrazić jej gorące podziękowanie. Mańka aż rośnie z zadowolenia, i jeszcze więcej się stara.

Wydostała skądś lakieru, polakierowała na białą szafę, a wszystkie półki powykładała białym papierem.

Po miesiącu zebrała się rada naczelna, żeby wybrać nowych ministrów. Wszystkich wybrano nowych, a Mańkę — drugi raz! Nic więc dziwnego, że nowa rada ministrów najczęściej ją wybierała na prezesa i że ona w całym rządzie miała największe poważanie.

Coraz większa pycha napelnia Mańkę.

Zrobiła w swojej szafie wycinane w zębkach firanczki, papiery powiązała kolorowymi wstążeczkami i niechętnie już roztwiera szafę.

— Wszystko się tytko niszczy, gdy tak ciągle wyjmować!

Młodszym dzieciom to nawet często wprost odmawia. Cóż to? Byle pętał z pierwszego oddziału ma mieć ją, ministra drugiego raz jednogłośnie wybranego, na posługę!

Ale za to porobiła do przyborów do szycia śliczne kolorowe pudełeczka, wyklejane atlasowym papierem, i do nożyczek także. Śliczne pudełeczka... Cóż, kiedy wszyscy ciągle ich żądają?! Zniszczą, splamią, podrą jeszcze... I Mańka odmawia teraz często i starszym, albo się wykręca, że klucz jej się gdzieś zawieruszył. W świetlicy coraz większe niezadowolenie, a inni ministrowie zwracają uwagę Mańce, że tak postępować nie można. Ale Mańka ani myśli ich słuchać! Tak przez zazdrość tylko mówią, bo nikt tego nie potrafił co ona!

Wreszcie wszyscy mieli już tego dosyć. Zwołano radę naczelną i postawiono Mańkę przed sąd.

— Popatrzcie do szafy, — mówi Mańka — jest porządek czy nie?

— A co nam z tego porządku, — krzyczą chłopcy i dziewczęta — jeżeli nie można nigdy niczego z szafy wydostać! Dosyć już mamy twoich rządów! Wybrać innego ministra!

A Mańka z płaczem do pani Oskierskiej — Niech tylko pani posłucha, jacy oni niewdzięczni. Ja się tak starałam. Moja szafa taka śliczna, a oni jeszcze niezadowoleni!...

— Mają słusność, Mamiu — powiada pani Oskierska. — Zrobiłaś sobie z szafy przedmiot do popisywania się przed wszystkimi, a nie przedmiot ogólnego użytku. Zapomniałaś, że ty, jako urzędnik, powinnas służyć świetlicy, a nie świetlica tobie. Pudełeczka, wyklejane atlasowym papierem, firanczki, wstążeczki, to wszystko rzeczy bardzo ładne, ale nie, jeśli mają przeszkadzać w używaniu przedmiotów, do którychli pomieszczenia służy szafa. Nie nos jest dla tabakiery, lecz tabakiera dla nosa...

I zrzuceno z urzędu Mańkę, a wybrano Stasię.

Stasia zrobiła w szafie tekturowe przegródki — każda do czego innego, i przyzwyczaiła wszystkich, żeby kładli rzeczy nie byle gdzie, lecz na przeznaczone dla nich miejsce. Odtąd w szafie był porządek choć każdy mógł sobie brać, co i kiedy chciał.

(Dokończenie ze str 2)

Wreszcie pani spokojnie i powoli wyciągnęła nieboraka z pułapki. Czerwony był i spocony i aż płakał ze wstydu, że mu się tak nie udało. A klasa, choć wszyscy bardzo Wojtka lubili, nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Bo w tej przekrzywionej papierowej czapce, w za długim fartuchu usmarowanym sączą wyglądał tak pociesznie, że nie można było nie śmiać się.

— Nie martw się Wojtku — pocieszała pani. — Tlusty Czwartek zawsze ligie płata, splata i tobie.

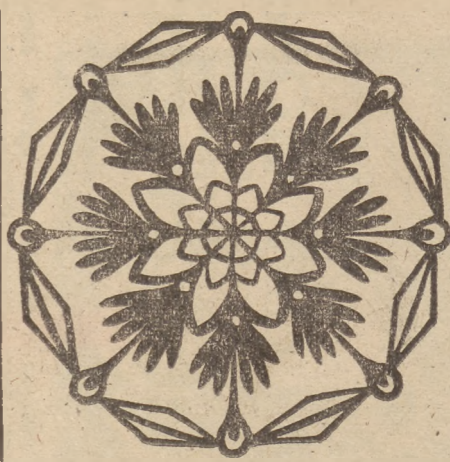
Na lekcji pani zamiast o rzeczownikach, których dzieci bardzo nie lubiły opowiedziała, jak dawniej w Polsce obchodzono zapusty, jakie to były piosenki i zabawy. Obiecała nawet, że po lekcjach zaśpiewa. Nawet się nie spostrzegłi, kiedy godzina przeszła.

Podczas przerwy zasiedli wszyscy do paczków, które dało się jednak oczyścić z kurzu i które bardzo wszystkim smakowały.

A w piątej klasie tak się nie udało. Bo i co? Tak jak zawsze. Pan udawał, że chce

pisać cukrem, trochę się pośmiał i na tym się skończyło.

W trzeciej klasie stanowczo było lepiej, choć zdawało się, że nic się nie udaje. Tylko po lekcjach musieli wszyscy zostać i umyć tablicę, bo woźny powiedział, że jak się dzieci bawiły, to niech i dzieci sprzątną. Ale to było też bardzo przyjemne. Szorowali tablicę, mydłem i sodą, bo ten olej wiodocnie był bardzo dobry i ani rusz nie chciał się zmyć. Tak mył, że aż w jednym miejscu farba zlała i od tej pory tablica miała szarą łatkę. Ale to nic nie szkodzi — bo na pamiętkę.



Z. KWIECIŃSKA

Grajże grajku będziesz w niebie...

Chcieliśmy — scena pusta. Aż tu nagle jak orkiestra nie zagra, jak chór nie zaśpiewa (chór był ukryty za sceną).

Krakusowa góra słoneczkiem się pali, U mojej Kasielki świeci bież korali, I korale krasne i słoneczko jasne, Ale najpiękniejsze Kasi serce własne.

Wskoczyło na scenę cztery pary Krakowiaków. W białych sukmanach, pełni pawich piór przy czapach, kółeczka brzęczą. A od wstążek Krakowiaków, aż w oczach się miewa...



Wyszorowali na czysto podłogę i jedyną tbrali ściany, że aż pachniało, jak w lesie. Kurtyne zrobił z przeszczerad. Ale to nie nie szkodzi. Na przyszły rok może już będzie prawdziwa kurtyna. Walek zniżył walek reflektor. Walek był pierwszym mechanikiem podczas wszystkich uroczystości.

Długo się biedali jaki tytuł nadać temu przedstawieniu. Bo było bardzo dużo projektów, ale żaden nie nadawał się. Jasiek na przykład uparł się, żeby konieczne tytuł był rymowany. „Czy chudy, czy tłusty, mnech przyjdzie na zapusty”.

Też wymyślił, żeby się ludzie z nas śmiali — zaprosił Heniek — Trzeba nazwać to przedstawienie jakos — po ludzku. „Polska w tańcu i piosence” — podał Franek.

Ale to też się nie pokochało. Wreszcie stanęło na tym, że nie nazwą wcale. Przedstawienie i już, a fakty, mnech to będzie nie epodziabka.

Wypisali piękne alizy, powiesili je na szkole i na gminie, ale jeszcze przez tego przezi od domu do domu i każdego osobście z wiadomości, że w czwartek o piątej i żeby konieczne wszyscy przyszli. Ale namawiać nie trzeba było, bo te szkole przed-sławiana znane już były wszystkim i zaw-sze bardzo się podobały. Toteż goście zaczęli schodzić się na długo przed naznaczonym terminem. O piątej już sala była tak zap-chana, że nie tylko na ławkach mnech nie było, ale wszędzie pod ścianami stali ludzie.

A za kurtyną z przeszczeradeli ruch już i szmer. Zadzwonił dzwonek i wszyscy zaczęli ko, Kurtyna powoli zaczęła się rozsuwać. W jednym miejscu wprawdzie zaczęła o gwóźdz i o mało się przeszczeradło nie roz-zerwało, ale Witek w porę odzyspał i mne-mawel nie zauważył.



Gdy skończyli, długo sala była brawa. Wszyscy chcieli, jeszcze raz to zobaczyć. Musiał dopiero wyjść Witek i powiedzieć, że będzie jeszcze dużo piosenek i tańców, że to będą takie „zapusty w całej Polsce”.

Znowu rozległ się dzwonek i cichutko za scena odezwały się skrzyńce. Cichusienko, cichusienko, jakby ktoś na jednej stronie smyczkiem wodził. A potem coraz głośniejsz coraz pełniej rozbrzmiewał kujawiak. Z głosami skrzyńce zmieszali się, śpiew:

Dudni woda dudni W cembrowanej studni, A daczego dudni? Bo jest woda w studni. Gesi za wodą, Kaczką za wodą, Uciekał dżleweczyño, Bo cie pobodzi...

Scena miała się od pustych zapasek, fur-hocą pastasie spódnice. Te spódniczki były zrobione z kolorowego papieru, którego za-pobiegł Witek, kupił większy zapas w mieście. Dżlewecza nawet bał się, że to cienie i w tańcu się podzre. Ale nie podarły się i wygładziły jak prawdziwe.

Teraz już nie polędwice głosy, ale cała sala pomaga chorowi: Gęsi za wodą, Kaczką za wodą...

A oto na scenę wychodził posuwającym krokami trójki i rozbrzmiewa piosenka: Zasieli Górale owies, owies, Od końca do końca tak jest, tak jest...

Chłopcy w wysokich smiesznych kapel-szach, dżlewecza w kwiatkach czepkach — Trójka! Trójka! — rozlega się na sali. — Słaski taniec. — Ależ nam pokazali...

Chwila przerwy. Aktorzy mruzą się prze-brać i odpocząć. Na sali gwar. Ten i ów bar-dziej ciekawy usiłuje zajrzeć za kurtynę. Nie wolno już. Nie wda się, jak be-dziące podglądac. Starsi wyszli do sieni zapalić. Rozmawia-ja, rozmawiają: — Może tam gdzie i w miescie są tepeze teatry, ale ten przynajmniej nasz, wiśowy, każdy go rozumie.

A myślicie, że gdyby tak w miescie to pokazali, to by się nie podobalo? — Co by się miało nie podobac? — Wściecie co? Trzeba naszych chłopaków namówić, żeby pojechali do miasta. Mnech

tam wiedzą, że nasza wieś choć mała i zapadła, ale swój teatr ma

Co wy tam gadacie, że nasza wieś zapadła? A elektryczności tośmy nie prze-prowadzili? A spódniczki nie mamy, takie, że sztukac podobne!...

Dalszy spór przerwał dzwonek. Przez chwilę na sali syczał było przesuwanie la-tek, chrząkanie i szuranie butami, potem wszyscy się uciszyło. Zgasa światła, tylko zza kurtyny syczały się staba powiatła. Nagle, jakby się chmurza oberwała:

Podkowiecki dajcie ognia, Bo dżlewecza tego godna, A czy godna, czy nie godna, Podkowiecki dajcie ognia. Nuże żywo, nuże dalej! Bo podkówek są ze stali, Bysmy ognia wykrzesali, Nuże żywo, nuże dalej!

Rozsunęła się kurtyna, a tam już stoją cetera pary Mazurów. Obiegi salę w pod-skokach z przytupianiem, z przykleka-niem aż wiał powiał po sali. A wtedy An-tek, pierwszy tanecznik, stanął sobie przed okna, co wyszła już z ukrycia i siedzia-ła w głębi sceny na ławce, czapkę zsunął na jedno, ujął się pod bok i zaśpiewał:

Grajże grajku, będziesz w niebie, A basista kato ciebie, Cymbalista jeszcze dalej, Bo w cymbali dobrze wali. — Tu już sala nie wytrzymała. Powstał wszyscy z miejsc. I ci z pierwszych rzę-dów i ci z ostatnich zwałi się przed scenę, aż się tłok zrobił. Gruchnięła piosenka, że zdawało się, ściany ciasnej sali rozsadzi.

Hej graj graj i baj baj, Będziesz w niebie, będziesz w raju A basista dalej kłęczy, Bo w swe haasy dobrze brzęczy... Wyrwała się ta piosenka przez otwarte na-sze drzwi sieni, rozszalała się wśród przycupniętych w mroku domów, na pole wybiega daleko, aż ją echo stokrotnie pow-tarzało.

A tymczasem w sali Witek, spocyny i zgrzany darennie usiłował przekonać pu-bliczność, żeby zajęła swoje miejsce, że akto-rem niewygodnie tańczyć w takim tłoku. Po Mazurze, przysza koleja na taniec go-ralski. Z tym było najwięcej kłopotu, bo nie można było znaleźć odpowiednich strojów. W żaden sposób nie daly się zrobić z pa-pieru. Mieli już ten numer zapieche wyco-fać z programu, gdy Witek (ten specjalista

od wszystkiego) wyprosił w miasteczku w tamtejszym teatrze, gniiki i góralskie kape-lusze na jeden wieczór. Ciąpaży wystygali z drzewa Franek.

Góralskiego tanca nikt tu jeszcze nie wi-dział, toteż wszyscy siedzieli na miejscach spokojnie i uważnie patrzyli jak Antek i Szażek w obcisłych białych spodniach i męskich kierzpach podskakiwali wysoko w powietrze, raz w raz krzyżując swoje ciąpa-gi. A obok drobniutki, drobniutki kro-kami tańczyły Marysia i Hanika w kwiec-ko-



tych sztorokach spódnicach i barwnych go-seciach. W głębi sceny stoją Górale. Prawdziwi Górale, (któż by pomyślał, że się chłopcy potrafiła tak przebrać) i przyspiewują.

W murowanej piwnicy Tańcowali zbojnicy Kazali se pięknie grać I na nóżki spozierać. Tańcowalbym klejbyłm mięgi, Klejbyłm nie miał krzywych nóg. Ale krzywe nóżki mom Kaj podskoczę to się gna...

Na sali rozległ się śmiech. Ktos krzyknął: — Antek, coż to om o łobie śpiewają? Przecież ty nie masz krzywych nóg. A Antek nie wytrzymał i odkryknął ze sceny:



— To nie o mnie, ja przecież tańczę. To oni o sobie sami śpiewają. A potem Witek zapowiedział, że teraz będą tańczyli wszyscy aktorzy, cały zespół, taniec, który każdy od dziecka do staro-zna i tańczyć umie. I od razu chór zaczął:

A i zagrajże od ucha, A i nie patrz, żem koniucha! Sma owca, koni cisawy. Nie masz ziemi nad Kujawy! Kujawianka krowy pasła, Nazbierala garncie masła, Garniec masła, dzieza chleba, A czegoż jej więcej trzeba? Jak oberek, to oberki! Misa kaszy, łakcie szperek, Misa kaszy łatarzanej U Zosielki ukochanej.

Na scenie cisno, tylko barwne spódnicz-ki fruwały, tylko słychać przytupianie podkutek butów. A na sali też się coś dzwoniło. Długo. Wszyscy wstali z miejsc, odsuwają ławy pod ściany, a niektóre przez do sieni wyrzycają. Poszły pary w kolo. I starzy i młodzi. Tań-czy działek Marchiak, aż mu się siwa czup-ryna trzęsie. Spocił się i zaspapał, ale z grae-ją przykleka, ale starzyscie przytupie.

Tanęcy mała Wilka, co ledwie od ziemi odrasta i puciułowaty. Franek od kowala. Tanęcy cała izba, tanęcy cała wieś. Of dziś dziś, of dziś dziś... Jak oberek, to oberek...



Nasi czytelnicy piszą sami

Nasza klasa

Szkoła, do której uczęszczałem, nazywana była przez uczniów „budą”. Dlaczego jednak otrzymała ten pseudonim nikt z nas nie wiedział.

Klasa, w której się uczyłem była w szko-

le najslawniejszą z figlów. Nauczyciele nigdy jej nie chwaliли, chociaż klasa nasza najczęściej przyczyniła się do założenia biblioteki i spółdzielni szkolnej. My zaś wszyscy dumni z niej byliśmy, chociaż posiadała tak bardzo ujemną opinię. Klasa nasza była bardzo dobrana. Nigdy nie było w niej

klótni i awantur. Bardzo lubiliśmy wszystkie lekcje, prócz algebry. Była ona znienawidzona i pogardzona przez nas. Może jednak dlatego, że nikt z nas w tej dziedzinie nie posiadał nadzwyczajnych zdolności. W każdej bowiem klasie, jest zawsze więcej kandydatów na kiepskich poetów, niż na wybitnych matematyków, co wymaga cierpliwości u mistrzów tej nauki. Każdy z nas wywołany na algebrze do tablicy szedł zwykle chwiejnym krokiem, z grobową miną na bladej twarzy i wyglądał tak, jak gdyby szedł kupować własną trumnę i to w dodatku na kredyt. Wojtek nie mogąc dosyć często rozwiązać zadania, szarpał niemiłosiernie guziki u kurtki. Ala kruszyła kredę, a Danką wyłamywała swe własne palce u rąk. W klasie naszej mieliśmy redaktora naczelnego Jurka Kobylkę, który zarazem drukował (ręcznie) gazetkę klasową. Ponieważ nie miał na to czasu po zajęciach szkolnych, więc drukował ją na algebrze...

Często też wywołany do tablicy nie wiedząc o co chodzi dostawał stopień niedostateczny. Zaraz po takim stopniu krzyczał, że się zrzeka danej mu pracy. Uspokoiwszy się jednak na powrót drukował. W klasie naszej był pewien kolega Antek R. Wesoły był bardzo, uczył się nawet dosyć dobrze, jednakże miał dziwną manię tzw. „urywania się z lekcji”. Pewnego dnia rzekł nam, że po godzinie rysunków ucieka ze szkoły. No i dokąd pójdziesz — zapytaliśmy go ciekawie. Pojadę do Warszawy do kina, taki świetny film w „Polonii” grają — odrzekł. Wpadniesz jak mucha w siatkę — zobaczysz — mówiliśmy. Jednak poszedł. Wyprawa nie udała mu się jednak. Złapał go w Warszawie profesor od geografii „dzia-dzio globus” i o mało wyprawa Antka nie skończyła się po tym tragicznie. O smutnych tych wagarach ułożyłem wiersz do gazetki klasowej. Wiersz ten brzmiał następująco:



Narysował Rysio Maszczyk ze Szpotawy woj. wrocławskie

„Świat Dzieci“

Gazetkę, o której chcę wam powiedzieć,
Znają chyba wszystkie dzieci,
A kto nie wie, musi wiedzieć,
Ze nazywa się „Świat Dzieci“.

Gdy chcesz mile spędzić czas
(A czas przy tym szybko zleci)
Kup „Głos Ludu“, a z nim wraz
Jest co tydzień nasz „Świat Dzieci“.

Są w nim wiersze i powiastki,
Są zagadki i szarady
Jest i konkurs i nie rzadki,
A czasami i ballady.

Gdy chcesz poznać wiele dzieci
I sam przezeń być poznany,
Napisz list do „Świata Dzieci“
Czysto, ładnie napisany.

Ziemiński Czesław
z Płocka, ucz. II kl. gimn. lat 15.

Księżyc

Księżyc wszedł na niebo
I swą krągłą twarz
Obrócił i patrzy
Prosto w domek nasz.

Potem się pochylił,
Zajrzał do pokoju
Patrzy, a tam dzieci
Śpią grzecznie, w spokoju.

Posunął się dalej,
Przez chmury przebłysnął,
Na śpiącego Burka
Jeden promień cisnął.

Burek się obudził,
Zaczął głośno szczeekać,
Księżyc się przestraszył
I zaczął uciekać.

I twarz przerażoną
Schował poza chmurę
Mówiąc: „A niedobry,
Jest ten piesek bury“.

Napisał RYSZARD GIRULSKI
wieś Jastrzębsko Stare

Idzie Antek po Warszawie
Uśmiechnięty szczęśliw prawie
Bo się „urwał“ dziś ze szkoły
Więc radosny i wesoły.
Wspaniała u niego mina
„Wali“ sobie wprost do kina.
Iecz, w tem wrzasnął ile siły:
„Mamo ratuj, Boże miły“!
Dech mu w piersiach, aż zapiera
Bo widzi — nauczyciela...
Więc czym prędzej w bok uskoczył
Lecz profesor już go zoczył.
Złapał go profesor stary
Antek smutne miał wagary.

Napisała Stronk Hania
z Wawra

Jedzie zima

Jedzie, jedzie sroga zima,
A tuż za nią wiatr zacina.
Krasnalowi zmarzły uszy,
I spod pieca się nie ruszy.

I już lecą z nieba śnieżki,
Zasypując drogi, ścieżki,
Poła, miedze i podwórka,
Dach stodoły, budę Burka.

Kraczą wrony na jabłoni:
— Jedzie zima parą koni.
Kraczą wrony na brzezynie:
— Oj nie prędko zima minie.

Tomaszewska Kryśia
Warszawa,

Jagusine bajki

Dzieci — czas już spać — powiedziała matka. Mamo, niech Jagusia opowie nam jeszcze jedną bajkę, ona tak pięknie opowiada, prosił Józek.

Nie — czas już jest na was, abyście leżeli w łóżku.

W izbie zrobił się rwetes, bo żadne z dzieci nie miało ochoty, kłaść się spać. Wszyscy chcieli słuchać bajek, jakie im Jagusia opowiadała.

Mamo, jeszcze jedną bajkę, tę o jesieni — prosiła najmłodsza z dzieci Jagienka.

Nie — jutro żadne z was nie będzie chciało wstać rano i iść do szkoły, bo będziecie niewyspane. Jurka i Witka to będą musiały ścigać z łóżka, albo kropić ich zimną wodą. Inaczej rady sobie nie dam z nimi.

Mamo — wstaniemy rano, ale pozwól posłuchać nam bajki.

Ano dobrze, jeśli tak, to możecie jeszcze trochę posiedzieć. Tylko niedługo. Mała gromadka usadowiła się wygodnie na ziemi, otaczając dokoła Jagusię.

Jagusię opowiadaj — rozległy się głosy. Jagusia odrzuciła w tył swe długie jasne warkocze i zaczęła opowiadać:

Za siedmioma lasami, hen daleko, gdzie nie żyje żaden człowiek, mieszka w pięknym pałacu pani Jesień. Jest ona bardzo dumna. Służbę u niej pełnią myszy polne. One pomagają jej w gospodarstwie, w rządach i znoszą jej nowinki. Teraz też jedna z myszy, która pełniła funkcję marszałka dworu stanęła przed Jesienią i tak rzecze:

Najjaśniejsza pani nasza, oto nowiny dziśniejsze. Na świecie panuje piękna pogoda — jest lato. Myślę, że czas już, abyś ty, najjaśniejsza pani, zaczęła na świecie swe panowanie.

Tak myślisz? — rzekła Jesień do Marszałka.

Oczywiście — najjaśniejsza pani. Już czas na ciebie.

No więc dobrze, szykuj farby i pędzel. Idziemy w drogę.

Wszystko będzie jak każesz o pani. Teraz możesz już odejść — rzekła Jesień. Marszałek nadworny ukłonił się Jesieni i wyszedł dawać rozkazy służbie.

Na drugi dzień Jesień wyruszyła w świat. Na głowie miała jarzębinowy wianek, suknię z szarych chmur, a płaszcz, którym była otulona zrobiony był z różnokolorowych liści. Za nią ciągnął wielki orszak myszy polnych. Poszła Jesień najpierw do gajku. Patrzy drzewa zielone liście mają. Nie podobalo jej się to. Przemalowała cały gaj na różne kolory. Zadowolona ze swego dzieła, poszła dalej w świat, malując liście drzew i krzewów. Świat cały mienił się kolorami tęczy. Gdy skończyła swą pracę, wróciła do swego pałacu i zadowolona siadła na tronie. Z tronu widać było cały świat. Świat był naprawdę piękny, toteż Jesień była bardzo szczęśliwa. Lecz niedługo trwała jej radość. Zły wiatr zaczął liście z drzew zrywać i w dzikim tańcu rzucał je hen przed siebie. Zobaczyła to Jesień i gorzko zapłakała. Płakała, a na świecie padał deszcz i ludziom dokuczał. Toteż oburzeni ludzie mówili: hrr, wstrętna jesień, taki deszcz pada i wichry wieje...

Jagusia skończyła opowiadać, a w izbie panowała cisza.

Naraz Witek odezwał się:

— Aleś nas wzięła tymi swoimi bajkami, pięknie opowiadasz. Teraz Jagusię idź do domu, bo rodzice będą na ciebie się gniewali, żeś tak długo u nas była, ale jutro przyjdź do nas, najepiej wieczorem, wtedy najprzyjemniej się słucha bajek.

Dobrze, przyjdę jutro do was — mówiła Jagusia wychodząc.

Długo w nocy śniły się dzieciom Jagusine bajki. Śniła im się Jesień malująca drzewa, myszy polne, które u niej służyły, śnił im się wiatr, który niszczył pracę Jesieni, śniła im się Jesień która płakała deszczem nad swoją pracą.

Hanna Weber
Wawer k/Warszawy

Książka

Na całym świecie szerokim, długim od rana aż do zmroku warczą maszyny, rwą ziemię plugi i praca wre naokół.

Na całym świecie, we wsiach i miastach na wschodzie i na zachodzie, pod ręką ludzką życie wyrasta tęczowo barwnym ogrodem.

W upale pustyń, w lodach północy, Z ziem żyznych i ubogich, patrzą w świat ludzkie zdobywcze oczy, szukając naprzód drogi.

I tyle lat już, i tyle wieków pod niebo błękitną jasność radość i walka i trud człowieka życie czaruje baśnią.

Jakże ją poznasz w swych czterech ścianach coż się o życiu dowiesz? O tym, co piękne, mądre, nieznanne któż ci to wszystko powie?

A przecież w świat ten, barwny jak tęteża

prowadzi droga wąska, co się szeregiem literek skręca w najukochańszych książkach.

I to co ciekawe, i to co bliskie I co poznania warte — nauki, baśnie, podróże wszystkie odnajdziesz na jej kartach.

I choćbyś sam był, choćbyś się smucił, z książkami sam nie będziesz.

Książka — druch wierny, ciebie nie rzuci

uśmiech przyniesie wszędzie.

Książek prześlicznych jest dziś bez liku! Czyś czytał mało, czy wiele, gdy ci o książkach powie „Świat Dzieci“, zostaniesz ich przyjacielem.

A kiedy każdą swobodną chwilkę poświęcisz na czytanie

Sam się zadziwisz, że szczęścia tyle Zdobyłeś niespodzianie.

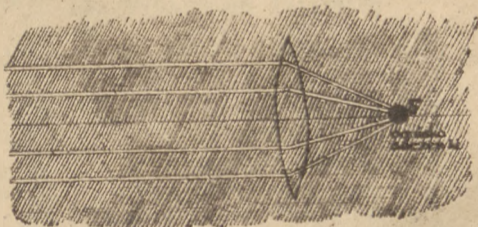
A. Chojnacka.



Wyjął z szuflady inną soczewkę. Franek zauważył, że była znacznie mniejsza i bardziej wypukła.

— Skąd ty wiesz, że akurat 10 i 5, a nie jakaś inna liczba? — zapytał.

Heniek stanął, wsadził obie ręce w kieszenie i namyślił się. Po chwili zaczął powoli mówić



— Bo to jest tak. Za podstawę obrano soczewkę, której odległość ogniskowa wynosi 1 metr. Rozumiesz? Ognisko jest o 100 cm oddalone od soczewki.

— Ależ tak, oczywiście, rozumiem — powiedział Franek.

— No to słuchaj, zdolność zbierająca tej soczewki nazwano jedną dioptrią — rozumiesz? — Jedna dioptria.

— Nie musisz dwa razy powtarzać, ja rozumiem — obraził się trochę Franek.

— Ja wiem, że ty masz głowę nie od parady, ale czekaj jeszcze, zobaczymy co ty teraz zrozumiesz. Powiedz mi mądralo,

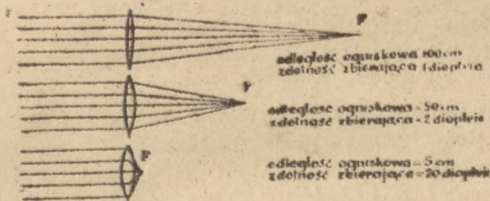


jeżeli odległość ogniskowa soczewki wynosi pół metra, to ile ta soczewka ma dioptri?

— Pół dioptrii — powiedział bez wahania Franek.

— Głupi jesteś i nic nie rozumiesz. Tę raz dopiero widać, że nic nie rozumiesz i w ogóle szkoda do ciebie mówić. — Heniek śmiał się głośno, patrząc na Franka, który przestraszył się tego, że głupstwo powiedział i miał rzeczywiście bardzo głupią minę.

„No, to słuchaj i uważaj: soczewka, która ma odległość ogniskową pół metra silniej skupia światło, niż taka, co ma odległość ogniskową 1 m. — więc musi mieć więcej dioptrii — prawda?”



„No tak, prawda” — zgodził się Franek i nagle mu się rozjaśniło w głowie — „To ona musi mieć 2 dioptrie, bo dwa razy silniej skupia światło” — zawołał.

„A widzisz, teraz nareszcie rozumiesz”.

„A moja soczewka ma odległość ogniskową 20 cm, to jest pięć razy bliżej niż 1 metr, to ona ma rzeczywiście 5 dioptrii. Twoja ma odległość ogniskową 10 cm, to jest 10 razy bliżej niż 1 metr, — to znaczy, że ma 10 dioptrii. Prawda Heniek?”

(Dalszy ciąg nastąpi)

Babcina bajeczka



Gdy się Jędrus spać uklada
na miękkich podusiach,
bajeczki mu opowiada
pocziwa babusia.
Cyt... Był sobie las,
w nim rosły
świerki i sosenki.
Raz, gdy z nieba padał właśnie
śnieżek mięciusięki,
wyskoczyły spod korzenia
lalusie malutkie.
Był to krasnoludek z bratem
także krasnoludkiem.
Przykicały do nich zaraz
dwa zajączki z łączki.
Zatańczyła cała czwórka,
wziąwszy się za rączki.
Nie wiem dobrze, co tańczyli,
pewnie krakowiaczka.
Śnieg gwiazdkami się ukladał
na drzewach i krzaczkach.
I tak było bielusiętko
na leśnych ścieżkach...
Jędrus zasnął... cyt...
Skończona bajeczka babcina.

LUCYNA KRZEMIENIECKA



KĄCIK ROZRYWKOWY

PIECZĄTKI Z KARTOFLI



Wybieramy ładny, zdrowy kartofel i przecinamy go ostrym nożykiem na pół. Część kartofla, oznaczone na rys. 1 literami a, b, c, d, odkrawamy i odrzucamy. W ten sposób otrzymamy kwadratową płaszczyznę kartofla, w której z kolei wycinamy jakiś najprostszy, geometryczny wzór. Na rys. 2 widzimy gotową już pieczętkę. Następnie napuszczamy pieczętkę wodnymi farbami: trójkątnym innym kolorem, a kwadrat innym, np. brązowym i pomarańczowym, szafirowym i czerwonym, rdzawym i zielonym.

Na przygotowanym uprzednio, białym (nie glansowanym papierze) przykładamy pieczętkę raz koło razu i otrzymujemy ciekawy, kolorowy wzór.

Z tej samej pieczętki, obracając ją w różnych kierunkach, możemy uzyskać wiele odmiennych kombinacji. Na początek podałam wam najprostszy wzór. Sami obmyślcie sobie inne, trudniejsze, na tuzi, lub nawet cztery kolory.

PRZYGODY W LESIE

Wierszyk do zgadywania

Miałem wolną chwilę czasu,
więc pobiegłem wnet do
Jak przyjemnie, miło działo!
Patrzę, a przede mną ...
wielki, niby skałna góra,
więc przezornie dałem ...
i schowałem się za drzewa.
Gdzieś nade mną ptaszek
Idę dalej, mija chwilkę
aż spotykam w gąszczu
Myślę sobie, to nie żarty,
on patrzy wzrokiem
Ja się wspiram na pień sosny.
Czekaj na mnie, choć do
Odetchnąłem w głębi duszy,
Stąd mnie przecież nikt nie
Tu mnie przecież nic nie zgnębi!
Co to, światła jakieś w
rozświetlają dziwne blaski.
Ach, to oczy we łbie
Pewno ryś, albo pantera,
serce z trwogi mi
Wnet wypuszczam z ręki gałąź:
leczę pędem chwilę
przeżywając strachu męki.
Nagle spadłem na mech.....
z przerażenia żyw napoły:
Czyjś głos słyszę: „czas do
już gorąca czeka kawa“.
Więc to sen był, a nie

H. Swidzińska

LAMIGŁÓWKA



Po śniadaniu Hanna sprzątała ze stołu. Idąc z tacą do kuchni potknęła się w progu i jedno naczynie spadło z tacy i robiło się na podłodze. Które z was pomoże Hani skleić skorupki w jedną całość?

ROZWIĄZANIA Z NR 3 (69)

Zagadki:

1. Żuraw w studni
2. Bańka
3. Kierzanek
4. Naparstek
5. Bańka mydlana
6. Myśl

Dodawanki i odejmowanki

1. Mewa
2. Karol
3. Łódka
4. Lina
5. Karaś